

Święty Mikołaj

17 grudnia 2018

Obudziło go dudnienie ciężarówki przejeżdżającej za oknem. Momentalnie poczuł ostry ból głowy po wczorajszym wieczorze. Wypił więcej niż zwykle. Wszystko przez samochód, który odmówił posłuszeństwa w połowie kursu. Klient wyszedł na mróz bez płacenia za część przejechanej trasy. Musiał wzywać pomoc drogową, która odholowała jego taksówkę do mechanika. Przez to wrócił wcześniej do domu i miał dużo czasu, którego upływ złagodził czymś mocniejszym.



Zacisnął oczy. Chciał zasnąć z powrotem i nie czuć bólu głowy. Ten jednak jak nóż w jego czaszce nie pozwolił na skupienie się na niczym innym. Wstał powoli i usiadł na brzegu łóżka. Beknął donośnie i poczuł, że musi zwrócić wczorajsze żeberka. Szybkim krokiem poszedł do toalety walcząc z bólem głowy i ciałem, które wszelkimi sposobami próbowało powrócić do pozycji poziomej.

Spojrzał w lustro. Chuda, pociągła twarz z zapadniętymi policzkami, żylaste ciało, które niemal całkowicie straciło swą naturalną barwę. Było szare i odpychające. Z trudem przełknął ślinę i zaczął się myć. Miał dwie godziny, by dostać się do dużego sklepu meblowego. Dorywcza praca, której

szczerze nienawidził, choć podejmował ją każdego roku. Przeważnie, by móc zaszaleć w sylwestra i mieć pieniądze na jakąś panienkę. Tym razem większą część zarobku będzie musiał przeznaczyć na naprawę samochodu. Zaklął w duchu. Zrobi tak, by starczyło mu na jakiś lepszy alkohol. Bez niego nie ma przecież szans na dobrą zabawę.

Skończył w łazience, narzucił kurtkę i wyszedł z mieszkania. Głowa dawała mu się coraz bardziej we znaki i musiał ją czymś udobruchać. Nie mógł w takim stanie iść do pracy. Wrócił dziesięć minut później z flaszką brunatnego napoju, który zaczął pić zanim jeszcze usiadł na kanapie. Dwoma haustami opróżnił piątą część butelki. Położył się wśród porzucanych ubrań dogorywając. Nie miał siły siedzieć w tamtym sklepie przez bite osiem godzin i wysłuchiwać nieznośnych dzieciaków.

Przedrzemał godzinę. Ze snu wyrwało go dudnienie za oknem. Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po dwunastej.

– Krew zaleje... – rzucił zachrypniętym głosem. Miał czterdzieści minut by się ubrać i przejść sześć przecznic.

Kwadrans później wyszedł z budynku ubrany w czerwone spodnie, płaszcz z białym kożuchem przewiązany czarnym pasem trzymającym sztuczny brzuch oraz pasującą do całości czapkę. Wszystkiego dopełniała doklejona broda, która lekko odstawała z prawej strony. Niektórzy z mijanych ludzi reagowali na niego uśmiechem. Pozdrawiali go życząc wesołych świąt.

– „Co za debile” – pomyślał. – „Dopiero jest trzeci grudnia.”

Parsknął poirytowany na kolejne powitanie. Ludzie mieli tak wyprane mózgi reklamami i akcjami promocyjnymi wielkich sieci handlowych, że nie potrafili nawet samodzielnie myśleć. W ogóle całe te święta uważał za żalosną tradycję, której głównym celem była konsumpcja nakręcana propagandą medialną. Gardził tymi, którzy tak łatwo i bezrefleksyjnie się temu wszystkiemu poddawali. On był mądrzejszy, dojrzałszy, wiedział jaka jest prawda i czym to wszystko było.

Doszedł do wielkiego budynku, w którym mieścił się sklep meblowy. Wszedł do środka i od razu usłyszał:

– No, jesteś wreszcie!

Podeszła do niego niska, pulchna brunetka ubrana w dopasowany żakiet.

– Miałeś się tu pojawić dziesięć minut temu! – krzyczała podpierając zaokrąglone boki. – Bartłomiej Darłowski, tak? – spytała wysyłając mu gniewne spojrzenie.

Skinął głową. Dzięki brunatnemu wsparciu jego głowa nie bolała jak po przebudzeniu, jednak każdy dźwięk piskliwego głosu kobiety poruszał sztyletem, który wciąż tkwił w jego czaszce.

– Przepraszam... – zaczął i musiał odchrząknąć. Jego głos skrzypiał jak otwierane drzwi starej szafy. – Po drodze był wypadek i musiałem pomóc kobiecie z dzieckiem – dokończył wymyślając na poczekaniu.

Grymas na twarzy kobiety pogłębił się. Nic jednak nie odpowiedziała. Wskazała tylko palcem w głąb sklepu. Podążył wzrokiem za jej ręką i zobaczył daleko na środku wielkiej sali fotel na wzniesieniu, do którego prowadziły trzy niskie stopnie. Wszystko obite eleganckim, czerwonym płótnem. Dookoła były poukładane pudełka przewiązane różnokolorowymi wstążkami, wśród których stały dwie dziewczyny ubrane w zielone kostiumy elfek. Ruszył w stronę swojego miejsca pracy.

Usiadł na fotelu i ciężko westchnął. Sklep był pełen ludzi, których rozmowy, pytania do personelu i telefoniczne pogadanki tworzyły ciężki do zniesienia gwar. Ból głowy znów się nasilił. Sięgnął do prawej kieszeni po piersiówkę z brunatnym lekarstwem, gdy na podwyższenie weszło kilkuletnie dziecko. Stanęło metr przed nim uważnie mu się przyglądając.

– Jesteś prawdziwym świętym Mikołajem? – spytał malec mrużąc oczy.

Tego pytania nienawidził chyba najbardziej.

– Tak – odparł krótko. Miał ochotę kopnąć go swoim wielkim, czarnym butem.

– Nie wyglądasz na prawdziwego Mikołaja. – Chłopiec nie dawał za wygraną.

– Jak mogę cię przekonać? – Kątem oka zauważył brunetkę stojącą za regałem, która uważnie go obserwowała. Starał się jak mógł, by nie wybuchnąć na malca. – Chodź do mnie na kolana i powiedz mi jaki prezent chciałbyś dostać od świętego Mikołaja – mówiąc to wyciągnął do niego obie ręce.

Chłopiec jeszcze przez chwilę przyglądał mu się uważnie. Wykonał krok w jego stronę i krzyknął wskazując na prawą stronę jego twarzy:

– Wiedziałem! To nie jest prawdziwa broda! Nie jesteś prawdziwy!

Mężczyzna przywiódł dłoń do twarzy i poczuł odstającą końcówkę sztucznej brody. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni klej w tubce, nałożył trochę na palec i posmarował nim odstający kawałek. W międzyczasie malec odszedł od niego krzycząc do rodziców o jawnym oszustwie.

– Ogarnij się! – wrzasnęła brunetka podchodząc do niego z lewej.

Skinął głową nie patrząc na nią. Kobieta podeszła krok bliżej lecz zatrzymała się, gdy na podwyższeniu pojawiła się dwójka małych dzieci.

– Ho, ho, ho! – zaczął mężczyzna. – Chodźcie dzieci do świętego Mikołaja – powiedział najradośniej jak potrafił lekko zachrypniętym głosem, rozkładając ręce.

Ta dwójka nie była tak wnikliwa jak ich poprzednik. Podbiegły do niego i zaczęły się na niego wdrapywać. Posadził każde na

kolanie, objął ramionami tak by nie spadły i zaczął słuchać litania życzeń. O rowerach, wielkich misiach, grach komputerowych, modnych ubraniach i nowym domu. Dopiero po kilku minutach udało mu się dojść do głosu.

– Ho, ho, ho! – wtrącił głośno. – A byłyście grzeczne w tym roku? – spytał zerkając to na jedno, to na drugie.

– Taaak! – krzyknęła zgodnie dwójka. – Chcemy prezentów! – dodał chłopczyk na jego prawym kolanie.

– Dobrze – powiedział odwracając się do młodych kobiet w zielonych kostiumach. – Moje elfki mają coś specjalnie dla was.

Wywołane podeszły do dzieci i wręczyły każdemu po dużym pudełku. Dzieci musiały zejść z jego kolan by móc uchwycić prezenty.

– A co to jest? – spytała dziewczynka. – Czy to jest mój miś?

Nic nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, co było w pudełkach. Pewnie jakieś badziewie ze sklepu meblowego, które nie sprzedawało się w mijającym roku.

– To jest niespodzianka – odparł w końcu rozglądając się dookoła ponad głowami dwójki maluchów. W sklepie było dużo rodzin z małymi dziećmi, które ciągnęły do niego dorosłych zajętych oglądaniem produktów na regałach. Zliczył co najmniej trzydzieścioro małych terrorystów, których jazgotu będzie musiał wysłuchiwać udając zainteresowanie i radość. Miał wrażenie, że za moment zwymiotuje wprost na dwójkę rozpakowującą przed nim prezenty.

– Ej, a gdzie jest moja gra?! – krzyknął chłopiec podnosząc do góry gruby jasiek z wyszytym na obu stronach logo sklepu.

– Widać nie byłeś wystarczająco grzeczny – odparł Mikołaj, którego bardzo świerzbiła ręka. – Moje elfki wiedzą wszystko! – dodał głośniejszym głosem unosząc do góry palec wskazujący lewej dłoni.

Prawą sięgnął do kieszeni. Musiał zażyć trochę lekarstwa zanim na jego kolanach znajdzie się następny bachor.

Zasłonił twarz lewym przedramieniem, palcami prawej dłoni odkręcił piersiówkę i sprawnym ruchem zaczerpnął z niej obfity łyk. Schował ją do kieszeni wszystko zasłaniając wyciągniętą ręką. Miał dużą wprawę po latach w tym zawodzie. Rozejrzał się upewniając, że nikt niczego nie zauważył i rozłożył ręce witając kolejne dziecko zawołaniem, które z każdym powtórzeniem coraz ciężiej przechodziło mu przez gardło.

Najpierw był chłopczyk, który żądał od niego konsoli. Gdy dostał od elfki mały taborecik przewiązany czerwoną wstążką podbiegł do mężczyzny i zaczął ciągnąć go za płaszcz.

– Przestań chłopczyku – powiedział próbując złapać go za małe rączki, którymi z całych sił targał jego strój. – Bo nie dostaniesz nawet tego krzeselka! – pogroził mu palcem.

W końcu jedna z elfek złapała malca i wzięła go na ręce. Zeszła z podwyższenia i oddała dziecko rodzicom, którzy właśnie podeszli zaalarmowani krzykiem swojego syna.

Następna była dziewczynka, która rozpaczliwie chciała dostać kucyka. Nie akceptowała żadnego prezentu podanego przez elfki i zaczęła głośno płakać na jego kolanach. Przez moment pozwolił sobie na fantazję, w której chwyta ją za małą główkę i ściska, aż nastaje całkowita cisza. W końcu jedna z kobiet w stroju elfki ściągnęła ją z jego kolan i oddała zatroskanym rodzicom, którzy obiecali dziewczynce kucyka w przyszłym roku.

Dwie godziny później przez jego kolana przewinęło się trzydzieścioro dzieci, z których każde było z czegoś niezadowolone. Prosiły, krzyczały i groziły mu próbując wymusić na nim upragnione prezenty. Gdy elfka ściągnęła z jego kolan kolejne rozkrzyczane dziecko, znów sięgnął do prawej kieszeni po prawie pustą piersiówkę. Jak zawsze zasłonił się lewą ręką i opróżnił ją sprawnym ruchem prawej. W tym momencie podbiegła do niego niska, pulchna brunetka.

– Co ty robisz?!? – krzyknęła. – Zwariowałeś?! Pracujesz z dziećmi i chlejesz?! Wynoś się stąd! Natychmiast! – grzmiąca wskazując na drzwi wyjściowe z dużego marketu meblowego.

– Co pani... – zaczął i czknęło mu się głośno. – Co pani opowiada. Wszystko jest w porządku...

– Wynoś się stąd pijaku jeden! – krzyczała kobieta. – Ochrona!

– Hej, spokojnie, po co te nerwy? – próbował się bronić. – Przecież nic się nie stało...

Dwóch roślących ochroniarzy podeszło do niego i jeden z nich kazał mu wstać.

– Panowie, naprawdę, nic się nie stało...

Chwycili go za rękawy i pociągnęli stawiając do pionu. Następnie chwycili pod ręce i zaprowadzili do drzwi wyjściowych.

– Halo, a moje pieniądze? Przesiedziałem tutaj prawie trzy godziny! – krzyczał odwracając głowę do kobiety, która szła za nimi. – Należy mi się sto pięćdziesiąt złotych – odwoływał się do uzgodnionej wcześniej stawki.

– Ciesz się gnojku jeden, że policji nie wezwałam! – wykrzyczała. – Wywalcie go stąd – poleciła ochroniarzom, którzy wypchnęli mężczyznę za drzwi.

Wyleciał na zewnątrz ledwo utrzymując się na nogach. Po kilku krokach poślizgnął się na zamarzniętym chodniku i wywinął orła. Zwłókł się przeklinając wszystkich i wszystko.

– Złodzieje jesteście! – krzyknął gniewnie w stronę drzwi wejściowych sklepu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta. Ruszył w dół ulicy kierując się do swojego mieszkania. Dzisiaj nie miał już nic do roboty. Kolejną fuchę miał ustawioną dopiero na jutrzejsze

popołudnie. Po drodze wstąpił do monopolowego. Nie wyobrażał sobie spędzenia tego wieczoru na trzeźwo.

Następnego dnia obudził się z jeszcze większym bólem głowy. Spojrzał na zegarek. Było po dwunastej.

– „Krew zaleje” – pomyślał. Miał niecałą godzinę, by stawić się w centrum handlowym na drugim końcu miasta. Umył się szybko, napełnił piersiówkę lekarstwem, ubrał strój roboczy i wybiegł z mieszkania. Złapał taksówkę, która wysadziła go przed centrum na minutę przed rozpoczęciem pracy.

– Proszę, jaki punktualny Mikołaj – przywitał go uśmiechnięty mężczyzna w garniturze. Był w średnim wieku, szczupły z nienaganną fryzurą.

– „Pieprzony goguś” – pomyślał Mikołaj. – Dzień dobry – odpowiedział witającemu go mężczyźnie.

– Gotowy? – spytał uważnie przyglądając się jego kostiumowi.

– Ho, ho, ho, a jakże! – odparł najradośniej jak potrafił zachrypniętym głosem. W jego głowie tkwiły co najmniej dwa ostrza.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego szeroko.

– Zapraszam panie Bartku – powiedział ruszając w głąb centrum.

– Wszyscy już na pana czekają.

Przeszli kilkaset metrów wzdłuż witryn sklepowych z torebkami, butami, ubraniami i zabawkami. Naprzeciw tej ostatniej stał potężny fotel na podwyższeniu otoczony prezentami. Obok stały dwie uśmiechnięte elfki w krótkich spódniczkach. Znacznie krótszych niż te, które miały dziewczyny w sklepie meblowym wczoraj. Pomyślał, że jeżeli i tutaj miałoby mu nie zapłacić, to zadowoliliby się bzyknięciem jednej z nich.

Podszedł do podwyższenia z fotelem otoczonego wianuszkami dzieci, za którymi stał drugi wianuszek rodziców. Wszyscy

witali go uśmiechami. Niektóre dzieci machały do niego rączkami wołając radośnie. Pozdrowił zebranych uniesieniem ręki i głośnym okrzykiem, który powtórzył trzykrotnie jak zawsze. Nie potrafił wyrazić słowami jak bardzo go nienawidził.

Opadł ciężko w fotelu i nim zdołał cokolwiek powiedzieć jedna z elfek posadziła na jego kolanie małą dziewczynkę.

– Jesteś prawdziwym świętym Mikołajem? – spytała chwytając jego brodę, za którą pociągnęła.

W ostatniej chwili złapał przyklejoną brodę, nie pozwalając dziewczynce na zerwanie jej ze swojej twarzy. Wyobraził sobie jak chwyta jej małe rączki i wiąże na podwójny supeł.

– Oczywiście, że tak – odparł prawie radośnie. – Jak masz na imię?

– Elwira – odpowiedziała patrząc na niego dużymi, niebieskimi oczami.

– Czy byłaś grzeczna w tym roku, Elwirko?

– Tak! – krzyknęła uśmiechając się szeroko. Przez ramię spojrzała na swoich rodziców, którzy potwierdzili jej odpowiedź kiwając głowami o roześmianych twarzach.

– Doskonale! A zatem zasłużyłaś na prezent! – rzucił spoglądając na jedną z elfek.

– Nie spytasz, co chciałabym dostać?

– „A chciałabyś dostać kopa?” – pomyślał. – Jestem świętym Mikołajem i doskonale wiem, co chciałabyś dostać – powiedział do małej wyciągając rękę w kierunku elfki po lewej.

Młoda dziewczyna w zielonym stroju podeszła do niego z małą paczką przewiązaną czerwoną kokardą. Podała mu ją. Szybko wręczył paczkę dziecku, szukając wzrokiem kolejnego malca.

Elfka chwyciła dziewczynkę pod pachy i ściągnęła z jego kolan. Gdy druga sadzała na nich następne dziecko usłyszał krzyk rozczarowania dziewczynki, która w międzyczasie rozpakowała małą paczkę.

– Jak masz na imię? – spytał chłopczyka na swoich kolanach.

– Maciek.

– Byłeś grzeczny w tym roku, Maćku?

Chłopiec spuścił wzrok, którym uciekł na moment do stojącego w wianuszkach rodziców ojca. Ten uśmiechnął się kiwając głową.

– Tak – odparł w końcu cicho.

– Doskonale! W takim razie zasłużyłeś na prezent!

Na twarzy chłopca pojawił się szeroki uśmiech, gdy mężczyzna wręczył mu paczkę z czerwoną kokardą. Ściągnięto go z jego kolan, gdy zaczął ją rozpakowywać targając papier i rozrzucając go dookoła.

Przez następne osiem godzin obsłużył w podobny sposób blisko dwieście dzieci. Miał wrażenie, że było ich co najmniej tysiąc. Ostatnią na jego kolanach posadzono małą Klaudię.

– Byłaś grzeczna w tym roku? – spytał zrezygnowanym głosem.

– A tobie co się stało? – spytała zadziornie patrząc w jego oczy.

– Słucham? – spytał.

– Nie wyglądasz na prawdziwego Mikołaja.

Ręka, którą trzymał na jej plecach ubezpieczając ją przed ewentualnym upadkiem zadrżała. Tak bardzo chciał ją strzelić.

– Oczywiście, że jestem prawdziwy! Co to w ogóle za pytanie?!

– oburzył się.

– Prawdziwy święty Mikołaj nie krzyczy na dzieci! – odparowała.

Chwyciła go za brodę i jednym szarpnięciem zerwała ją z twarzy mężczyzny.

– Wiedziałam! Jesteś oszustem! Oszust! Oszust! – zaczęła krzyczeć przebierając nogami i kopiąc go grubymi podeszwami w łydkę i wewnętrzną część kości goleniowej.

Poderwał się z fotela zrzucając z kolana dziewczynkę, która upadła bokiem na czerwone obicie drewnianego podwyższenia. Rozległ się głośny krzyk i płacz.

– Co ty do diabła robisz człowieku?!?! – wydarła się na niego wysoka kobieta, która podbiegła do dziewczynki biorąc ją na ręce. Chwilę potem dołączył do niej mężczyzna, który podbiegł do niego chwytając i szarpiąc go za płaszcz.

– Co zrobiłeś mojej córce, gnoju jeden?! – krzyczał.

Na szczęście szybko pojawił się obok nich elegancki mężczyzna w garniturze, który zaczął łagodzić całą sytuację. Małżeństwo uspokoiło się dopiero, gdy otrzymali dwustuzłotowy bon na zakupy w centrum, a małej wręczono trzy, duże paczki przewiązane czerwonymi kokardami.

– Będę musiał potrącić to z twojej wypłaty – poinformował Bartka, gdy szli do biura mężczyzny na piętrze. W środku dał mu do podpisania papier i dostał do ręki dwieście złotych.

Wyszedł z centrum po dwudziestej pierwszej. Zamówił taksówkę, która wysadziła go pod monopolowym obok budynku, w którym wynajmował mieszkanie. Po całym dniu z rozwydrzonymi dziećmi nie widział możliwości na spędzenie reszty wieczoru bez wsparcia brunatnego przyjaciela. Z wypłaty tego dnia zostało mu niecałe sto trzydzieści złotych. Wzruszył na to tylko ramionami i wszedł do budynku mieszkalnego.

Piątego grudnia o dziesiątej rano obudził go telefon.

Wygramolił się z łóżka z ogromnym kacem. Przeszedł przez salon do telefonu stojącego na komodzie. Po drodze o mało nie przewrócił się na pustej butelce leżącej obok kanapy.

– Słucham – wycharczał do słuchawki.

– Bartek? – usłyszał żeński głos.

– Tak. Kto mówi?

– To ja, Marzena. Nie poznajesz mnie?

Dopiero teraz rozpoznał głos swojej byłej żony.

– Czego chcesz? – rzucił nie kryjąc poirytowania.

– Słuchaj, jutro są mikołajki. Planujesz kupić Karolinie jakiś prezent?

Nie odpowiedział.

– Bartek, jesteś tam?

– Tak.

– A więc? Kupisz jakiś prezent swojej córce?

Znów cisza. Próbował zebrać myśli walcząc z przeszywającym bólem głowy.

– Słuchaj Marzena, mieszkasz teraz ze swoim nowym gachem, to niech on coś kupi małej...

– Ale z ciebie kawał skur... – urwała. W tle usłyszał głos dziewczynki. – Dobrze kochanie, ale tylko jeden – odpowiedziała córce, odstawiając na moment słuchawkę od głowy. – Nie wiem, po co w ogóle do ciebie zadzwoniłam – rzuciła do słuchawki i odłożyła ją nie czekając na jego odpowiedź.

Przeklął ją w duchu i wrócił do łóżka.

Budzik obudził go dwie godziny później. Dzisiaj czekała go

fucha w urzędzie miasta. Był jednym z dwóch wynajętych Mikołajów. Płacili blisko połowę mniej niż w dwóch poprzednich miejscach. Niczego innego nie udało mu się jednak znaleźć na ten dzień.

Zwłókł się z łóżka po dwunastej, umył się, napełnił piersiówkę lekarstwem, ubrał się w znienawidzony kostium i wyszedł z mieszkania.

Urząd miasta znajdował się ulicę dalej od jego budynku mieszkalnego. Szedł powoli pozdrawiany co jakiś czas przez roześmianych ludzi. Nikomu nie odpowiedział. Nawet na nich nie spojrzał. Co chwila wyciągał z prawej kieszeni płaszcz piersiówkę i raczył się dużymi haustami. Nim doszedł do urzędu piersiówka była już w połowie pusta. Cały czas zastanawiał się nad następnym dniem. Do tej pory nie udało mu się znaleźć żadnej fuchy. Miał nadzieję, że w urzędzie będą jakieś ogłoszenia z numerami telefonów. Jeżeli niczego nie znajdzie, będzie musiał wystawać cały dzień na ulicy zdany na szczyrość ludzką. A z tą bywało różnie.

Wszedł do budynku miejskiego i podszedł do gabloty ogłoszeń. Uważnie ją przestudiował. Nie znalazł jednak ani jednego ogłoszenia poszukującego świętego Mikołaja. Było za to jedno, w którym szukano młodej dziewczyny do pracy jako elfka szóstego grudnia w centrum handlowym, w którym wczoraj okradziono go z połowy jego wynagrodzenia. Zaklął pod nosem i poszedł wprost do biura kadr. Tam skierowali go do wielkiego holu, w którym znajdował się już jeden Mikołaj. Tutaj nie było żadnych podestów ani elfek w krótkich spódniczkach. Dwóch Mikołajów musiało dzielić jednego, podstarzałego elfa, który stał przy kupce paczek owiniętych zielonymi sznurkami. Skrzywił się na ten widok. Zacisnął jednak zęby. Potrzebował pieniędzy na naprawę samochodu. Pojutrze miał go odebrać i znów wyruszyć na miasto jako taksówkarz. Jeżeli nie uda mu się zebrać odpowiedniej kwoty zostanie na łodzie. Dosłownie i w przenośni. Brakowało mu trzystu pięćdziesięciu złotych.

Staął kilka metrów obok drugiego przebierańca. Obaj stali pod przeciwległymi ścianami szerokiego holu witając przechodzących ludzi, a w szczególności dzieci. Jedynym plusem tej fuchy był brak konieczności brania na kolana rozwydrzonych bachorów, których nigdy nie sposób zadowolić.

Stał w holu przez bite osiem godzin, tylko z dwiema przerwami na toaletę. W dodatku cały czas była skierowana w jego kierunku kamera pod sufitem. W przeszklonej budce na końcu holu przy wejściu siedział strażnik w mundurze, który co jakiś czas zerkał w ich stronę. Stojąc tam nie mógł ani razu zaaplikować brunatnego lekarstwa. Podczas pierwszej wizyty w toalecie trzema haustami opróżnił piersiówkę i przez kolejne pięć godzin ledwo utrzymywał się na nogach walcząc siłą woli z kilkunastoma ostrzami w swej czaszce.

Pod koniec dnia udał się do działu kadr, gdzie otrzymał pokwitowanie. Poszedł z nim do kasy. Starsza kobieta o dawno minionej urodzie wręczyła mu plik banknotów i świstek papieru do podpisania. Figurowała na nim kwota dwustu czterdziestu złotych. Podpisał, schował pieniądze i wyszedł z budynku.

Spojrzał na zegarek. Była wpół do dziesiątej wieczór. Na dobrą sprawę powinien szybko wrócić do mieszkania i położyć się spać. Jutro natomiast powinien od rana wystawać pod największym centrum handlowym w mieście, radośnie witając wchodzących i wychodzących ludzi. Z dzwonkiem w jednym ręku i czapką w drugiej. Przy dobrych wiatrach powinien uzbierać brakującą stówę z kawałkiem, nim zapadnie wieczór.

Szedł powoli zatopiony w myślach, cały czas kalkulując. Jeżeli nie wróci prosto do mieszkania i kupi flaszkę za czterdzieści złotych, będzie mu brakować sto pięćdziesiąt. Oceniał, że jest jak najbardziej realna szansa, by uzbierał tą kwotę do końca jutrzejszego dnia. Był tego niemal pewien.

Wszedł do sklepu monopolowego na rogu dwóch szerokich ulic. Dwieście metrów od swojego budynku mieszkalnego. Staął w

trzyosobowej kolejce wodząc wzrokiem po butelkach ustawionych za plecami sprzedawcy. W tle leciało radio grające spokojną, świąteczną muzykę. Gdy została przed nim tylko jedna osoba, w radiu rozległ się głos spikera zapowiadającego nadchodzącą wiadomości o dwudziestej drugiej.

– ...powiemy również o zakazie kwestowania na ulicach miasta zarówno przez organizacje jak i osoby prywatne. To rozporządzenie uderzy między innymi w Mikołajów, którzy zawsze tłumnie witali i pozdrawiali ludzi na ulicach naszego pięknego miasta. Zostańcie z nami! – Mężczyzna skończył mówić i pojawiła się zapowiedź bloku reklamowego.

– Co?!? – zachnął się głośno Bartek.

– Nie słyszałeś? – spytał go sprzedawca, gdy ten podszedł do lady. – Na początku tygodnia rada miasta uchwaliła to rozporządzenie.

– Ale jak to? Dlaczego?

– Podobno co roku dochodziło do wyłudzeń. Niektóre organizacje robiły takie przekręty, że w jeden dzień potrafili uzbierać nawet po kilkanaście tysięcy złotych. Miasto woli, by te pieniądze trafiły do kieszeni wielkich sieci handlowych.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zacisnął zęby.

– Dwie flaszki brandy – rzucił do ekspedienta.

Nie miał jutro po co wychodzić z domu. Brakujące pieniądze na samochód jakoś wykombinuje pojutrze albo dzień później. Nikt nie powiedział, że siódmego grudnia musi wyjechać w teren. Nic się nie stanie, jeżeli wyjedzie dziewiątego.

Zapłacił osiemdziesiąt złotych i wziął butelki od sprzedawcy. Schował każdą do osobnej kieszeni płaszcza. Wyszedł ze sklepu i skręcił w prawo. Po kilkunastu metrach podbiegło do niego trzech młodocianych wyrostków.

- Co jest Mikołaj? – zaczepił go jeden.
- Wyskakuj z kasy, koleś – rzucił drugi.

Trzeci wyciągnął w jego kierunku nóż.

- Ho, ho, ho! – krzyknął pierwsze, co przyszło mu do głowy; coś co powtarzał w kółko od trzech dni.

Trójka wyrostków zaśmiała się. Jeden z nich kopnął go w nogę z taką siłą, że aż uklęknął. Drugi wymierzył mu kopniaka w twarz, który złamał mu nos. Mężczyzna poleciał do tyłu i upadł na plecy. Dwóch trzymało jego ręce podczas, gdy trzeci przeszukiwał jego kieszenie. Zabrał obie butelki brandy i sto sześćdziesiąt złotych z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Mężczyzna próbował się wyrywać, przez co otrzymał jeszcze dwa ciosy pięścią w twarz. Chwilę potem trójka napastników uciekła śmiejąc się i krzycząc coś do siebie triumfalnie.

Przez dłuższą chwilę leżał na ziemi dochodząc do siebie. Głowa i twarz bolały go potwornie. Podniesienie się na nogi zajęło mu ponad minutę. Na ulicy dookoła nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc czy poświadczyć, że stał się ofiarą napadu.

Chwycił złamany nos w obie dłonie i jednym, sprawnym ruchem go nastawił. Ryknął z bólu, a z oczu popłynęły mu łzy. Usłyszał zbliżające się kroki i zasłonił twarz sztuczną brodą, która trzymała się teraz skrawka jego policzka przy prawym uchu.

Zza rogu wyszła rozbawiona grupa młodych ludzi. Mijając go pozdrowili go radośnie wołając:

- Witaj święty Mikołaju!
- Święty Mikołaj jest najlepszy!
- Wiwat święty Mikołaj!

Pozdrowił ich unosząc prawą rękę i kiwając głową. Lewą przyciskał sztuczną brodę do twarzy. Gdy grupa młodych ludzi

zniknęła za rogiem, zerwał brodę i kierując wzrok ku niebu wydał z siebie charczący, gniewny okrzyk.

– Przeklinam cię pieprzony, święty Mikołaju! Słyszysz mnie?! Przeklinam cię bydlaku! Przeklinam!

Nagle spostrzegł na niebie rosnący jasny punkt. Z każdą sekundą stawał się coraz większy i wyraźnie kierował się w jego stronę. Nim zdążył wykonać jakikolwiek ruch otoczył go snop jasnego, białego światła. Przez moment wyglądał jak artysta na scenie, którego oświetla ogromny reflektor umieszczony wysoko nad nim. Kilka sekund później światło cofnęło się i zaczęło wracać do swego źródła, unosząc i zabierając ze sobą mężczyznę z zakrwawioną twarzą.

Otoczyła go oślepiająca jasność. Mógł poruszać jedynie głową. Reszta ciała trwała w bezruchu wyprostowana z rękami wzdłuż tułowia. Kilka sekund później oślepiające światło zniknęło. Jego ciało cały czas było sparaliżowane, gdy zobaczył przed sobą ogromną postać siedzącą na wielkim tronie. Była ubrana w czerwony płaszcz i spodnie zakończone białymi pasmami futrzanego materiału. Twarz postaci była spowita długą, białą brodą, a na głowie miała pasującą do reszty czapkę. Bartek ocenił, że była wysoka na ponad dziesięć metrów.

– Chcę się upewnić, że dobrze cię zrozumiałem – odezwała się do niego głębokim basowym głosem. – Ty przeklinasz mnie?

Mężczyzna z zakrwawioną twarzą stał przed olbrzymem na baczność. Wytrzeszczał oczy ze zdumienia i strachu. Nie docierało do niego, co się dzieje.

– Ty – kontynuowała postać na wielkim tronie – egoista, pijak, nieudacznik i oszust przeklinasz mnie? Toż to są wolne żarty!

– Nie jestem oszustem... – urwał, gdy zabrakło mu powietrza w płucach. Oddychał szybko i płytko.

– Oczywiście, że jesteś! – zagrzemiał olbrzym. – Proszę – powiedział wyciągając przed siebie ogromną dłoń. Nad nią pojawił się obraz wnętrza taksówki Bartka, który przed wyjazdem w trasę manipuluje taksometrem. – Tutaj zmieniasz sposób naliczania opłat. Zamiast normalnej jednostki ustawiasz go tak, by dodawał dwadzieścia procent kwoty do każdego przejechanego kilometra.

Olbrzym zamknął wyciągniętą dłoń i otworzył ją ponownie. Bartek ujrzał siebie w sądzie rodzinnym.

– A tutaj kłamiesz pod przysięgą, by wyłgać się od płacenia alimentów na swoją własną córkę! Uważasz, że rozwodząc się ona przestała być twoją odpowiedzialnością! Taki jest z ciebie dupek!

Dokoła rozległ się cichy pomruk. Mikołaj odchrząknął lekko zmieszany. Zamknął dłoń i opuścił ją opierając z powrotem na oparciu wielkiego fotela.

– Tak mnie wkurzyłeś, że się przez ciebie uniosłem – dodał kiwając wielką głową.

Bartek dopiero teraz oderwał wzrok od olbrzyma przed sobą. Znajdował się w ogromnej przestrzeni, której podłoga i ściany wyłożone były czerwonym materiałem. Dokoła znajdowały się świąteczne dekoracje; złote, błękitne, zielone i białe. Miejsce wyglądało jakby właśnie obchodzono tam Święta Bożego Narodzenia. Obrócił głowę spoglądając na boki i zamarł. Otaczały go setki, tysiące małych, ciemnoszarych postaci. Były niemal połowę niższe od niego. Miały duże, podłużne głowy, małe chude torsy i cienkie kończyny. Wyglądały jak obcy, których widział w kilku filmach. Próbował przypomnieć sobie jak je nazywano. W końcu w jego pamięci pojawiło się poszukiwane określenie: Szaraki.

– „Mój boże!” – pomyślał – „Zostałem porwany przez obcych!”

– Ależ ty masz wyprany mózg – zagrzemiał olbrzym przed nim. –

Wyjaśnijmy sobie to od razu. Ja jestem świętym Mikołajem. – Zrobił pauzę przyglądając się mężczyźnie, który wrócił do niego wzrokiem. Wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. – Tak, tym prawdziwym świętym Mikołajem. Dokoła ciebie natomiast znajdują się moi pomocnicy.

Bartek znów się rozejrzał. Tysiące małych istot pokiwało jednocześnie głowami. Olbrzym kontynuował:

– To wasza cholerna konsumpcyjna popkultura zrobiła z nich szaraków, jak ich nazwałeś. Złych, niedobrych, strasznych obcych, którzy porywają ludzi i odstawiają ich z powrotem na ziemię z wszczepionymi urządzeniami, bóg jeden wie do czego służącymi.

Święty Mikołaj nachylił się do przodu. Wielki tron głośno zatrzeszczał pod jego ciężarem.

– A prawda jest taka – kontynuował – że każdy z moich pomocników ciężko tutaj pracuje przez cały rok, by spełnić marzenia ludzkich dzieci. I robią to od samego początku istnienia twojego gatunku! – wykrzyczał końcówkę, unosząc do góry palec wskazujący lewej dłoni.

Bartek nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Spoglądał to na olbrzyma, to na tłum małych istot po obu stronach. W końcu wydukał:

– Co się dzieje? Jak się tutaj znalazłem? Jak to możliwe...?

– To ja cię tutaj sprowadziłem – odparł momentalnie święty Mikołaj. – Z Ziemi – dodał wskazując palcem lewej dłoni do góry.

Sparaliżowany mężczyzna zadarł głowę. Zobaczył wycinek kuli ziemskiej widoczny ponad krawędzią dużego krateru. Jego ściany były wyścielone czerwonym płótnem wysoko, aż po sam szczyt. Wszędzie roiło się od ozdób świątecznych.

– Gdzie ja jestem?

– Na księżycu.

– Na... – zaczął z ogromnym trudem. Przełknął ślinę i raz jeszcze rozejrzał się dookoła. – Ty jesteś świętym Mikołajem. To – wskazał głową na boki – są twoi pomocnicy i wszyscy mieszkańcy ... – zawahał się – w kosmosie?

– Nie w kosmosie, tylko na księżycu. Znam dobrze ludzkie legendy. Sądzicie, że mieszkam na biegunie północnym. Przez kilka tysięcy lat rzeczywiście tak było. Później migracje waszego gatunku narastały i przeniosłem się tutaj, gdy pierwsze ludzkie grupy odwiedziły mnie na waszym biegunie. To oni zapoczątkowali legendy na mój temat. Wcześniej pracowaliśmy anonimowo.

Zapadła cisza. Bartek patrzył tępo na olbrzymią postać w stroju świętego Mikołaja. W końcu doszedł do wniosku, że oberwał od wyrostków znacznie gorzej, niż przypuszczał. Najprawdopodobniej leżał nieprzytomny na chodniku obok swojego bloku mieszkalnego.

– Nie, palancie jeden, to wszystko czego doświadczasz dzieje się naprawdę!

Dookoła ponownie rozległ się pomruk.

– A, przestańcie! Wkurzył mnie i mam prawo tak do niego mówić – rzucił Mikołaj machając ręką.

– Czego chcesz ode mnie? – spytał sparaliżowany mężczyzna.

Mikołaj spojrzał na niego i przez moment przypatrywał się mu mierząc go wzrokiem z góry na dół.

– Każdego roku starannie wybieram człowieka, któremu na czas jednej nocy grudniowej przekazuję moc świętego Mikołaja i wysyłam go w świat, by wręczył wszystkim dzieciom prezenty. – Poprawił się na tronie, który zatrzeszczał pod jego ciężarem. – W tym roku również dokonałem wyboru. Znalazłem kogoś godnego wypełnienia tej misji. Obserwując jednak ciebie, twoje żałosne

życie i w końcu słysząc twoje słowa postanowiłem, że w tym roku to będziesz ty.

Bartkowi opadła szczeka.

– Ja? Chcesz, żebym to ja został świętym Mikołajem? Prawdziwym...

– Tak – przerwał mu olbrzym. – I upewnię się, że zrobisz dokładnie to, czego od ciebie oczekuję.

Po tych słowach wstał ze swego tronu. Teraz mierzył z dwadzieścia metrów. Bartek sięgał połowy jego łydek. Mikołaj wyciągnął przed siebie rękę, unosząc męczyzną niewidzialną siłą na wysokość swojej głowy. Jego otwarta dłoń była większa od niego.

– Przekazuję ci moc świętego Mikołaja i powierzam zadanie wręczenia prezentów każdemu dziecku na planecie ziemi w ciągu jednej nocy – mówiąc to chwycił go wielką dłonią, zamykając w niej całe jego ciało za wyjątkiem głowy.

– Przecież to niemożliwe. Fizycznie niewykonalne – odparł męczyzna. Jego głos załamywał się na co drugiej sylabie. – A co się stanie, jeżeli mi się nie uda?

– Wtedy ze mną będziesz miał do czynienia i nie będę dla ciebie tak miły, jak jestem teraz.

Bartek chciał coś jeszcze powiedzieć, zaprotestować, gdy otoczyło go oślepiające światło.

Znalazł się na szarobiałej powierzchni księżyca obok krateru o czerwonych ścianach. Spojrzał w dół i zobaczył tłum szaraków wśród świątecznych ozdób.

– Teraz trzeba cię uposażyć – usłyszał. Odwrócił głowę i zobaczył stojącego obok olbrzyma.

W jednej chwili jego brudne i pomięte ubranie zmieniło się w

nienaganny strój Mikołaja. Na jego twarzy pojawiła się prawdziwa, biała broda.

– Przecież na księżycu nie ma atmosfery – powiedział biorąc głęboki oddech. – Jak mogę tutaj oddychać?

– Nie kłopotz się tym – rzucił oschle Mikołaj. – I tak tego nie zrozumiesz.

Po tych słowach wyciągnął do góry dłoń, skierował ją w stronę dywanu gwiazd nad nimi i krzyknął:

– Rudolf!

Bartek spojrzał w gwiazdy. Nagle jedna z nich rozbłysła i zaczęła się poruszać. Chwilę później znalazła się kilkanaście metrów nad nimi. Była zaskakująco mała jak na gwiazdę.

– Rudolf! – powtórzył głośno Mikołaj.

Gwiazda zaczęła się przeistaczać, by w końcu przybrać formę ogromnego renifera, który osiadł na powierzchni księżyca obok nich. Był brunatno szary i miał wielkie, rozłożyste poroże.

– Jestem święty Mikołaju – przemówił do olbrzyma.

Bartkowi po raz kolejny opadła szczeka.

– To jest twój tegoroczny wybraniec? – spytał renifer wskazując pyskiem na Bartka.

– Tak. Nie jest to mój pierwszy wybór ale postanowiłem, że to on wypełni w tym roku moje obowiązki.

– Dobra szefie, twoja decyzja.

– Gdzie jest reszta? – spytał Mikołaj.

Renifer zadarł pysk do góry i wydał melodyjny dźwięk. Ośmi gwiazd na niebie rozbłysło i ruszyło w ich stronę. Chwilę później znalazły się nad nimi i przekształciły się w duże

renifery. Były jednak mniejsze od Rudolfa.

– Już? – spytał Fircyk.

– Ale ten czas leci – odpowiedział Pyszałek.

– Załatwmy to szybko – dodał Kometek.

Zawtórowała mu reszta reniferów: Amorek, Błyskawica, Tancerz, Złośnik i Profesorek.

– I najważniejsze – powiedział olbrzym wyciągając dłoń, którą skierował na grunt obok mężczyzny, z którego wyrosły duże sanie. Renifery ustawiły się przed nimi w dwuszeregu. Na ich czele stanął Rudolf. Gdy zajęły swoje pozycje z sani wyłoniła się świetlista uprzęż, która opłótła wszystkie zwierzęta.

– Gotowe – skomentował wydarzenia olbrzym i spojrzał na mężczyznę.

Ten patrzył tępo to na sanie, to na niego. W końcu wydukał:

– Ale co ja mam dokładnie zrobić? Jeżdżę taksówką, a nie ... czymś takim.

Wielki Mikołaj pochylił się i dotknął palcem wskazującym jego głowy. Przez umysł Bartka przetoczyło się tysiące myśli. Jak zahipnotyzowany podszedł do sani. Wsiadł na nie, chwycił wodze i krzyknął:

– Ruszamy!

Rudolf tupnął przednimi kopytami w grunt księżycowy i zaczął się unosić. Pozostałe renifery zrobiły to samo. Sanie ruszyły z miejsca i skierowały się w stronę ziemi.

Oddalali się szybko od księżyca. Bartek rozglądał się dookoła omiatając wzrokiem setki milionów gwiazd drogi mlecznej. Spojrzał na ciemny glob przed nimi, który przy ogromie

wszechświata wydawał się maleńki. Wręcz nieistotny. Jednocześnie wszystko, co znał istniało właśnie tam. Ta mała planeta była całym jego życiem. Na niej znajdowało się wszystko czego pragnął, czego nienawidził, czego szukał i przed czym uciekał.

Księżyc malał szybko za ich plecami, a pomimo to miał wrażenie, że przestrzeni pomiędzy nimi a ziemią nie ubywało. Lecieli w kierunku ciemnej planety. Po prawej dostrzegł pasmo światła ludzkich siedlisk. Przypatrywał się im przez moment i w końcu rozpoznał kontynenty obu Ameryk. Po lewej znalazł wzrokiem kontynent australijski, a nieco powyżej i dalej na lewo zaczynała się Azja. Przez dłuższą chwilę chłonał widok, którego nigdy w życiu nie doświadczył, który oferował mu zupełnie inną perspektywę świata.

– Moment – powiedział w pewnej chwili – jeżeli tutaj jest teraz noc, to... – zawiesił głos – ...to w Polsce powinno być południe...

– Nie do końca – odpowiedział Rudolf. Jego słowa pojawiały się w jego głowie, zamiast dochodzić jego uszu. – Teraz na całej ziemi jest noc.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Przecież to niemożliwe. Ziemia jest kulą oświetlaną przez słońce, wokół którego krąży. Jeżeli z jednej strony kuli jest noc, to po drugiej stronie musi być dzień.

– No i się zaczyna – skomentował Profesorek.

– Na czas naszej wspólnej pracy musisz przestać myśleć dotychczasowymi kategoriami – zaczął Rudolf. Pozostałe renifery ciężko westchnęły.

– Czy musisz tłumaczyć takie rzeczy każdego roku? – spytał Amorek.

– Zdarzyło się, żeby któryś z ludzi to kiedyś pojął? – dodał

Profesorek.

Rudolf całkowicie ich zignorował, kontynuując:

– Odkąd zostałeś zabrany przez Mikołaja na księżyc, przestałeś podlegać znanym ci prawom fizyki.

– Co to wszystko znaczy? – spytał mężczyzna.

Widział oczywiście, że podróżuje przez wszechświat na saniami ciągniętych przez gadające renifery. Nie wiedział jednak jak poukładać to sobie w głowie. Niczego mu to nie mówiło poza tym, że najprawdopodobniej zwariował. Opcjonalnie leży umierający na chodniku obok swojego budynku mieszkalnego.

– Najprościej – odparł Rudolf – czas nie jest taki sam we wszystkich częściach przestrzeni. Można powiedzieć, że podróżujemy teraz przez zakrzywioną przestrzeń, której to ty, swoją obecnością, narzucasz czas. W dwanaście godzin odwiedzimy każde miejsce na ziemi. I wszędzie tam będzie noc z piątego na szósty grudnia.

– To są jakieś brednie... – skomentował cicho Bartek. – Gdy światło zabrało mnie z ziemi, w Polsce była dziesiąta wieczór. To znaczy, że w innych częściach świata nastął już szósty grudnia.

– Z twojego punktu widzenia podróżujemy teraz w czasie. Z przeszłości w przyszłość, utrzymując w całej przestrzeni twój osobisty czas.

– Mój osobisty czas? – zdziwił się mężczyzna.

– Tak. Dla ciebie noc dopiero się zaczęła. I ten czas narzucasz teraz całej przestrzeni.

– Pff! – prychnął poirytowany.

Nie spytał już o nic więcej. Stwierdził, że to po prostu nie ma sensu. I tak mu tego nie wytłumaczą.

Zaczęli wchodzić w atmosferę ziemską. Bartek spodziewał się turbulencji, lecz wszystko przebiegło gładko. Dokoła otaczały ich wyładowania atmosferyczne, które co jakiś czas przecinały swym blaskiem czarne niebo. Zniżali się coraz bardziej, aż minęli linię ostatnich chmur i jego oczom ukazały się grupy światła rozsiiane po wielkiej, ciemnej powierzchni. W pewnym momencie dostrzegł największą wyspę wchodzącą w skład wysp Kiribati. Nie miał pojęcia jak ani skąd, ale wiedział, że to właśnie tutaj, na sto osiemdziesiątym południku ziemskim, kończy się stary i zaczyna nowy dzień.

Chwilę później znaleźli się kilkaset metrów nad wyspą i zawisnęli nieruchomo w powietrzu.

– Zaczniemy powoli, żebyś się przyzwyczaił – powiedział Rudolf. – Pamiętaj, tylko nie panikuj.

– Co zaczniemy powoli? – spytał.

Gdy wypowiadał ostatnią sylabę, renifery, sanie i on sam rozszczepili się na dwa, identyczne obrazy. Dwa Bartki patrzyły na siebie siedzących na saniach.

– Co to jest? – Obaj mężczyźni spytali równocześnie, wskazując na siebie nawzajem. Zdał sobie sprawę, że widzi się oczyma każdego z nich. Patrzył na siebie jednocześnie z prawej i lewej strony.

– Tylko w ten sposób będziemy w stanie w ciągu jednej nocy wręczyć prezenty każdemu dziecku na ziemi – wyjaśnił Profesorek.

Każdy z obrazów rozszczepił się na kolejne. Teraz w jednym rzędzie trwały nieruchomo w powietrzu cztery sanie z reniferami i Bartkami na każdym z nich. Wszyscy czterej krzyknęli jednocześnie:

– Aaa!

– Nie ma się czego obawiać. To jest normalne – skomentował

jego reakcję Amorek.

– Normalne?! – krzyknął mężczyzna. – Jaja sobie ze mnie robicie, czy co?!

– Nie – wtrącił Rudolf. – Amorek ma rację. Dla każdego człowieka, któremu powierzono tę misję, to jest jedyny sposób na jej wykonanie.

Nim renifer skończył mówić kilkaset metrów nad Kiribati trwał nieruchomo w powietrzu rząd kilkunastu sań z reniferami i Bartkami, który cały czas się poszerzał. Mężczyzna był każdym z nich jednocześnie. Miał wrażenie, że jego umysł rozciąga się coraz bardziej i za moment pęknie.

– Spokojnie, za chwilę się do tego przyzwyczaisz – powiedział Rudolf.

Gdyby nie przerażenie, byłby się roześmiał z zapewnień renifera. Jednak w miarę upływu czasu i wyłaniania się kolejnych aparycji, cała sytuacja rzeczywiście stawała się bardziej znośna. Nie mógł powiedzieć, że normalna, ale uczucie rozciągania zbliżające go do rozdarcia powoli ustępowało.

Gdy stu Bartków jednocześnie obserwowało Kiribati, Rudolf krzyknął:

– Ruszamy!

Wszystkie sto obrazów skierowało się w dół, zlatując tuż nad powierzchnię wyspy. Zaczęły kierować się w różne jej strony. Mężczyzna widział wszystko każdą parą oczu. Jego obrazy dzieliły się na kolejne. Ich liczba rosła coraz szybciej z każdą upływającą chwilą. Powróciło uczucie rozdarcia i w pewnym momencie poczuł, że nie jest w stanie rozciągnąć się bardziej. Wtedy jego świadomość zakotwiczyła się tylko w jednym obrazie. Był świadomy wszystkich pozostałych. Nie potrafił określić w jaki sposób ale wiedział dokładnie, co każdy z nich robił, gdzie był i dokąd zmierzał. Wiedza ta była

jak wspomnienia, do których w każdym momencie mógł sięgnąć. Posiadał jednak ciągłość percepcji tylko jednego z obrazów. Patrzył na świat jedną parą oczu, choć posiadał wspomnienia wyspy widzianych ponad setką.

– Dobrze – powiedział Rudolf wglądając w umysł mężczyzny. – Teraz możemy zacząć pracę.

Wylądowali obok małej chatki schowanej tuż za linią lasu przy plaży. Zszedł z sani i spojrzał na ich tył. Dopiero teraz zauważył, że są puste. Zajrzał głębiej i spostrzegł, że ich dno faluje.

– Gdzie są prezenty?

– Na księżycu – odparł Rudolf.

– Zapomnieliśmy ich zabrać? – spytał.

– Nie bylibyśmy w stanie wziąć wszystkich. Sanie są portalem, który dostarczy ci właściwy prezent dla każdego dziecka.

Bartek jak zahipnotyzowany wyciągnął rękę w kierunku falującej części z tyłu sań i w jego dłoni znalazło się małe pudełko przewiązane czerwoną wstążką. Jednocześnie spodziewał się tego i był zaskoczony.

– Idź wręczyć swój pierwszy prezent – powiedział do niego Rudolf.

Mężczyzna omiótł wzrokiem plażę i okolice chaty. Dokoła nie było żywej duszy.

– I co, mam tak po prostu zapukać i wejść do środka?

Dwa renifery parsknęły, trzeci się zaśmiał.

– Nie – kontynuował instruktaż Rudolf. – Masz wejść do środka, pójść do pokoju dziecka i zostawić prezent obok jego łóżka.

– Mam się tam włamać? Zwariowałeś?

Teraz wszystkie renifery wybuchnęły śmiechem. Amorek aż przysiadł na tylnych nogach.

– Człowieku, idź po prostu w stronę drzwi i nie zatrzymuj się, aż znajdziesz się w środku – powiedział do niego przez śmiech Fircyk.

Bartek patrzył przez moment tępo na rozbawione renifery. Nawet Rudolf nie mógł powstrzymać uśmiechu, który odsłonił jego śnieżnobiałe zęby.

Poirytował się, odwrócił w stronę chaty i ruszył. Po kilku krokach stwierdził, że bardzo lekko idzie mu się po piaszczystej plaży w dużych, czarnych butach ze złotą kłamrą. Przy każdym kroku unosił się nieco w powietrze, jakby stąpał jedynie po ziarnkach pasku leżących na samym szczycie. Odwrócił się i spostrzegł, że nie zostawia za sobą żadnych śladów. Wzruszył ramionami. To zdecydowanie nie była najdziwniejsza część tego wieczoru.

Doszedł do chaty. Od ich drzwi dzieliły go dwa kroki. Zawahał się.

– Idź dalej – usłyszał w głowie głos Rudolfa.

Tak też zrobił. Gdy rozpoczynał lewą nogą trzeci krok, ta przeniknęła przez drzwi i postawił ją wewnątrz chaty. Przeniósł na nią ciężar ciała, cały czas poruszając się do przodu. Kolejne dwa kroki i znalazł się w środku. Nawet nie poczuł jak przeniknął przez drzwi. Zupełnie, jak gdyby ich tam nie było.

Stał w głównym pomieszczeniu, w którym na środku spały dwie dorosłe osoby. Dalej, po prawej z tyłu znajdował się mniejszy pokój. Ruszył w jego kierunku. Gdy wszedł do środka zobaczył małego chłopca śpiącego na pościeli wykonanej z pędów oraz dużych liści roślin. Podeszedł do niego i uważnie mu się przyglądał. Gdy tylko skupił na nim swoją uwagę, nad głową dziecka pojawił się obraz. Przedstawiał tegoż chłopca

siedzącego na plaży, który całą swoją uwagę poświęcał zegarkowi na swoim przegubie. Śmiał się, pokazując go mijającym go ludziom, którzy wyrażali zainteresowanie i podziw.

– Widzisz teraz jego marzenia. To, czego pragnie. – W jego umyśle znów pojawił się głos Rudolfa.

Bartek spojrzał na pudełko w swojej dłoni. Wiedział, że znajduje się w nim zegarek, który przed chwilą zobaczył w obrazie nad głową chłopca. Mimowolnie uśmiechnął się kładąc pudełko obok posłania dziecka. Odwrócił się i skierował ku drzwiom chaty.

Przeszedł lekko po piaszczystej plaży, wsiadł na sanie i wzbili się w powietrze. Przelecieli kilkaset metrów zatrzymując się przy czterech drewnianych domkach głębiej w lesie. Bartek powtórzył całą procedurę, wręczając trójce dzieci prezenty, które widział w marzeniach każdego z nich. Przechodząc z jednego domku do drugiego pomyślał o innych Bartkach i przez jego umysł przetoczył się strumień obrazów. Zdał sobie sprawę, że wręczono już ponad dziesięć tysięcy prezentów, na czterech różnych wyspach. Był zszokowany, gdy tylko sobie to uświadomił. Wolnym krokiem doszedł do trzeciego dziecka, którym była mała dziewczynka. Zobaczył nad jej głową sen o śnieżnobiałej perle, która była dla niej łąką anioła. Dziewczynka wierzyła całym sercem, że miała leczniczą moc. W swoim śnie stawała się kimś ważnym, gdy udało się jej ją zdobyć. Bartek spojrzał na mały woreczek w dłoni i nie miał wątpliwości, co zawierał. Położył go obok jej głowy, która spoczywała na kilku warstwach liści. Był zaskoczony jak wielką przyjemność sprawiło mu spełnienie jej marzenia.

Wyszedł z drewnianego domku i wsiadł na sanie. Wzbili się w powietrze i ruszyli dalej w głąb wyspy. Minęli kilkanaście domostw, które zostały już odwiedzone przez jego obrazy. Wspomnienia ich wnętrz i śpiących w nich dzieci przeleciały przez jego umysł, gdy tylko na nie spojrzał. Po kilku

kilometrach zatrzymali się na skraju wioski składającej się z dwunastu chat. Wiedział, że śpiące w nich dzieci oczekują właśnie jego, że żaden inny Bartek wcześniej tutaj nie był.

Osiedli za linią drzew dzielącą ich od skupiska chałup. Zszedł z sań, sięgnął ręką do tyłu i w jego dłoni znalazł się worek z kilkunastoma paczkami. Wiedział, że było ich czternaście. Ruszył rażnym krokiem w kierunku najbliższej chaty. Gdy tylko wyłonił się zza drzew, spostrzegł stojącego przy niej półnagiego mężczyznę z długą dzidą w dłoni. Ten momentalnie odwrócił się w jego stronę słysząc odgłos poruszonych liści.

Półnagi mężczyzna uniósł dzidę w powietrze i wykonał kilka kroków w jego stronę. Bartek chciał mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że to nie ma sensu ponieważ nie jest w stanie mu nic zrobić swoją bronią.

Nim udało mu się cokolwiek wyjaśnić, mężczyzna cisnął włócznią w jego kierunku. Przeleciała szybko dzielący ich dystans i utkwiała w piersi Bartka. Upuścił worek z prezentami chwytając ją oburącz. Poleciał do tyłu nie mogąc złapać oddechu. Gdy upadł w wysoką trawę, jego umierające ciało zniknęło rozpraszając się na atomy. Taki sam los spotkał sanie z reniferami czekające na niego za linią drzew.

Półnagi mężczyzna podbiegł do włóczni sterczącej z ziemi. Jeszcze długo szukał ciała intruza, lecz nigdzie nie mógł go znaleźć. W końcu zaalarmował pozostałych i przy każdej chacie postawiono po dwóch wojowników z dzidami, którzy uważnie obserwowali dżunglę dookoła, czekając na powrót czerwonej zjawy.

Bartek wyłonił się ze swojego obrazu dwa kilometry dalej. Krzyczał lecąc na saniach ciągniętych przez dziewięć reniferów.

– Co się stało!

– Tubylec cię zabił – odparł Rudolf.

– Ale jak to jest możliwe? Przecież przeniknąłem przez cztery drzwi, jak gdyby wcale ich tam nie było! Jak jego dzida mogła mi cokolwiek zrobić?

– Bartek – zaczął spokojnie Profesorek. – Jesteś świętym Mikołajem, a nie bogiem. Jest niedozwolone, by jakikolwiek człowiek był świadkiem używania przez ciebie mocy, którą zostałeś obdarzony. Gdyby tak się stało, wyrządziłbyś im wielką krzywdę.

– Nie rozumiem... – zawiesił głos próbując się opanować.

– Wyobraź sobie – podjął Kometek – , że idziesz ulicą i nagle widzisz kogoś przechodzącego przez ścianę albo latającego w powietrzu jak ptak.

Mężczyzna zastanowił się przez moment.

– No...byłoby to co najmniej dziwne.

– Więcej. Mógłbyś stracić poczucie rzeczywistości. Mógłbyś zacząć obawiać się o własne bezpieczeństwo wiedząc, że istnieje ktoś kogo nie zatrzymają ściany twojego domu. Mógłbyś przestać czuć się w nim bezpieczny.

– Albo mógłbyś postradać zmysły sądząc, że widzisz rzeczy, których nie powinno być. O których wiesz, że nie mogły mieć miejsca – dodał Błyskawica. – To jest poważna sprawa, Bartek.

Lecieli z powrotem w stronę wioski dwunastu chat. Mężczyzna kontemplował słowa reniferów i doszedł do wniosku, że mają rację.

Zatrzymali się w powietrzu nieco ponad sto metrów nad wioską. Zobaczył wartowników przy każdej chacie.

– To jak mam teraz wręczyć prezenty dzieciom? – spytał.

Czuł niepokój, że nie uda mu się zrealizować swojej misji. Kolejna rzecz, która go w sobie zaskoczyła. Dzień wcześniej

nie dbałby o to wcale.

– Musisz ich uśpić – wyjaśnił Rudolf.

– Uśpić? W jaki sposób? – spytał omiatając wzrokiem wnętrze sań. – Czym? – dopytał nie znajdując niczego.

– Po prostu wyciągnij w ich stronę rękę i powiedz „Śpij” – odparł Rudolf.

– Tak po prostu?

– Dokładnie tak – odpowiedział Pyszałek.

– Chyba sobie ze mnie jaja robicie – powiedział kręcąc głową.

– Po prostu spróbuj. Zaufaj nam – wtrącił Tancerz.

Sanie osiadły cicho kilkanaście metrów od wioski. Zszedł na ziemię, sięgnął do tyłu sań i w jego dłoni pojawił się worek z czternastoma paczkami. Ruszył w stronę wioski zaciskając zęby. Obiecał sobie, że jeżeli teraz też go zabiją, to następnym razem wyśle renifery do dzieci z tymi paczkami.

Wyszedł zza drzew poruszając się najciszej jak potrafił. Zobaczył dwóch półnagich mężczyzn stojących przy najbliższej chacie. Stwierdził, że przeniknie przez jej ścianę. Tak będzie łatwiej i nikt go nie zauważy. Po kilku krokach jeden z wartowników usłyszał go jednak i zaalarmował pozostałych. W jego stronę ruszyło ponad dwudziestu mężczyzn z dzidami uniesionymi w powietrze.

Zamarł na moment w bezruchu. Szybko się jednak opanował i wyciągnął w kierunku zbliżających się dłoń.

– Śpij! – powiedział głośno i mężczyzna najbliżej niego opadł na ziemię upuszczając dzidę.

– Śpijcie! – krzyknął ponownie. Wszyscy zbliżający się wartownicy stanęli w tym samym momencie i po chwili opadli na ziemię.

Bartek ciężko odetchnął. Jego serce waliło jak dzwon kościelny w niedzielny poranek. Potrzebował dłuższej chwili, by się uspokoić.

– Brawo – usłyszał w swojej głowie głos Rudolfa. – A teraz idź wręczyć dzieciom prezenty.

Ruszył szybkim krokiem przechodząc obok mężczyzn leżących na ziemi. Kilku z nich głośno chrapało. Dziesięć minut później wrócił do sań z pustym workiem. Wzbili się w powietrze i ruszyli dalej na zachód.

Przelecieli kilkadziesiąt kilometrów mijając pojedyncze chaty i małe wioski. Bartek wiedział, że każda z nich została już przez niego odwiedzona, chociaż cały czas był pojedynczym obrazem, który przed chwilą uśpił gestem dłoni i słowem ponad dwudziestu mężczyzn.

– Ależ to jest dziwne – powiedział do siebie.

– Dla ciebie na pewno tak – skomentował jego wrażenia Pyszałek. – Dla nas to coś całkowicie normalnego.

– Takie rozszczepianie się jest dla was normalne? I to w takiej liczbie? – spytał szukając umysłów wszystkich swoich obrazów. Wiedział, że ich liczba przekroczyła w tym momencie dwadzieścia tysięcy.

– Po pierwsze to nie jest rozszczepianie, jak to nazwałeś – wtrącił Kometek – ale wyłanianie się.

– To zdecydowanie lepiej brzmi – skomentował z aprobatą Tancerz.

– A co to za różnica? – dopytywał mężczyzna.

– Gdy coś się rozszczepia, powstałe części są czymś mniej, niż pierwotna całość – dołączył się do wyjaśniania Fircyk. – A tak wcale nie jest. Każdy nasz obraz w tej chwili na ziemi jest taki sam. Tak samo pełny i kompletny.

– Przecież to niemożliwe...

– Nie jest dla ludzi, którzy rozumieją świat i siebie w bardzo wąskich, ciasnych kategoriach – dodał Pyszałek.

Słowa renifera poirytowały Bartka. Zaczynał mieć już dość tego wywyższania się reniferów.

– Nie przesadzaj – skomentował jego proces myślowy Rudolf. – Po prostu tłumaczmy ci coś zupełnie nowego dla ciebie. Jeżeli nie chcesz dowiedzieć się o tym więcej, to nas o to nie pytaj.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Obserwował wyspę pogrążoną w ciemności, gdy na horyzoncie zobaczył skupisko świateł. Zanim zdążył spytać, znał odpowiedź na rodzące się w jego głowie pytanie. Dolatywali do jednego z czterech większych skupisk ludzkich na tej wyspie, które nazywało się... Polska.

– Heh, naprawdę? – spytał.

– Wiesz, że tak – odparł rozbawiony jego zdziwieniem Amorek.

Wleciał wgłąb osady. Po drodze zobaczył kilkadziesiąt swoich obrazów roznoszących prezenty. Osiedli na dachu jednego z większych budynków. Wiedział, że w środku znajduje się dwadzieścia sześć dzieci zanim jeszcze wylądowali. Jak wcześniej sięgnął do tyłu sań i w jego dłoni pojawił się worek z paczką dla każdego z nich.

Stał na dachu i spojrzał w dół. Chwilę później zaczął przez niego przenikać, aż znalazł się w mieszkaniu na najwyższym piętrze. Przeszedł salon, wąski hol i znalazł się w pokoju dwójki małego rodzeństwa. Gdy tylko skupił na nich swoją uwagę, nad ich głowami pojawiły się obrazy ich marzeń. Dziewczynka śniła o srebrnej skakance, a chłopczyk o prawdziwej rękawicy do baseballa. Za każdym razem gdy sięgał do worka, w jego dłoni znajdowała się właściwa paczka.

Wyszedł z mieszkania i przeniknął przez drzwi naprzeciw, znajdując się w o połowę mniejszym lokalu mieszkalnym. Tam

znalazł małego chłopca, nad którego głową ujrzał model statku pirackiego sprzed kilku stuleci. Gdy kładł paczkę z marzeniem chłopca obok jego łóżka poczuł satysfakcję. Pierwszy raz od dawna miał autentyczny powód, by dobrze o sobie myśleć. Zapomniał już jakie to uczucie. Wzrastało w nim z każdym prezentem pozostawionym przy łóżkach śpiących dzieci.

Gdy znów lecieli nad wyspą, obserwował setki swych obrazów odlatujących razem z nim w dalszą podróż. Minęli Kiribati i lecieli nad ciemną taflą oceanu. Wypatrywał kolejnych wysp, gdy nagle jego sanie zaczęły pikować ostro w dół. W chwili gdy w jego umyśle zrodziło się pytanie, znał już odpowiedź. Nie mógł w nią jednak uwierzyć.

– Naprawdę? – spytał obserwując szeroko otwartymi oczami zbliżającą się powierzchnię oceanu.

– Za chwilę zobaczysz to na własne oczy – doszła go odpowiedź Rudolfa.

Wlecieli w wodę, cały czas kierując się pionowo w dół. Otaczała ich, lecz nie dosięgała. Drogę przed nimi oświetlał Rudolf, którego nos zmienił się w potężny reflektor. Jego światło sięgało setki metrów w głąb wodnych czeluści. Mijali najróżniejsze oceaniczne stworzenia. Od ławic małych ryb, większych samotników, wielkich wielorybów, ośmiornic, węży i meduz po olbrzymie formy życia, o których nigdy nie słyszał. Po kilku minutach dostrzegł mały, jasny punkt daleko przed nimi, który z każdą chwilą stawał się coraz większy.

Niemożliwe... – wyszeptał, gdy ujrzał wyraźnie zarys kopuły. Wewnątrz znajdowały się budowle, jakich nigdy wcześniej nie widział. Rudolf przestał oświetlać ich drogę, gdy znaleźli się kilkadziesiąt metrów od podwodnego miasta.

– I tutaj też mieszkają ludzie? – spytał mężczyzna. W jego umyśle natychmiast pojawiła się odpowiedź. Potrzebował jednak usłyszeć to od kogoś innego.

– Tak – potwierdził Rudolf, gdy przelecieli przez grubą ścianę kopuły. – W tym mieście znajdują się ludzie z cywilizacji, która zamieszkiwała powierzchnię ziemi przed nastaniem waszej.

Lecieli setki metrów nad fantastycznymi budowlami. Niektóre z nich miały kształt sfer, inne piramid, jeszcze inne złożonych figur geometrycznych. Patrząc na nie, nie wiedział jak mogą trwać nie zawałając się. Spojrzał na sklepienie kopuły, na którym zobaczył obraz gwieździstego nocnego nieba, wraz z księżycem oświetlającym wszystko w dole jasnym, srebrzystym światłem.

Skierowali się w stronę dużego, owalnego budynku znajdującego się w pobliżu ściany kopuły. Nim do niej dotarli, wyłoniło się z nich kilkadziesiąt obrazów, które skierowały się w głąb podwodnego miasta.

Osiedli na szczycie owalnej struktury. Bartek zszedł z sań i poczuł twardą, idealnie gładką powierzchnię pod swoimi butami. Sięgnął do tyłu sań. W jego ręku pojawił się wielki worek, w którym znajdowała się ponad setka prezentów. W ogóle nie czuł jego ciężaru.

Spojrzał w dół i zaczął przenikać dach struktury, aż znalazł się na podłodze najwyższego jej piętra, kilkanaście metrów poniżej poziomu sklepienia. Wnętrze było przestronne, oświetlone delikatnym, srebrzystym światłem. Dookoła, daleko przy ścianach znajdowały się pomieszczenia ze śpiącymi dziećmi. Ruszył w ich kierunku. Mijał duże rzeźby przedstawiające półnagie postacie kobiet i mężczyzn. Pośród nich stały wielkie donice, z których wyrastały rozłożyste rośliny o dużych liściach. Większości z nich nie mógł rozpoznać. Gdzieś tam rośli drzewa sięgające niemal sklepienia struktury.

Doszedł do jasnej, kremowej ściany, w której znajdowały się owalne drzwi tego samego koloru. Przeniknął przez nie i ujrzał trójkę dzieci śpiących w łóżkach ustawionych obok siebie.

Przyjrzał się im uważnie i nie miał wątpliwości – to były ludzkie dzieci. Nad głową każdego z nich ujrzał obrazy ich marzeń. Przedstawiały stojące je wśród swych rówieśników i trzymające w rękach podłużne kryształy. Pokazywały je reszcie, która z ogromnym zaciekawieniem przypatrywała się jak rozbłyskują jasnym światłem w ich dłoniach.

Sięgnął do wielkiego worka i w jego ręku znalazły się trzy małe, podłużne pakunki przewiązane złotymi wstążkami. Wiedział, że znajdują się w nich kryształy, o których śniły dzieci. Nie miał jednak pojęcia czym były oraz do czego służyły.

Wyszedł z powrotem do wielkiej przestrzeni i ruszył wzdłuż kremowej ściany, wchodząc do kolejnych pokoi ze śpiącymi dziećmi. Kładł obok ich łóżek paczki z zawartością, której nie rozumiał. Gdy zatoczył pełne koło i wyszedł z ostatniego pomieszczenia, jego worek był już pusty. Był ogromnie ciekaw, co znajdowało się poniżej, na dole struktury. Spojrzał w dół z nadzieją, że przeniknie podłogę i będzie miał szansę zaspokoić swoją ciekawość. Zamiast tego jednak zaczął się wznosić i po chwili znalazł się obok sań z czekającymi na niego reniferami.

– Pamiętaj, po co tutaj przybyliśmy – upomniał go Rudolf. – Nie mamy czasu na nic innego – dodał, widząc rodzące się pytanie w umyśle mężczyzny. Ten skinął głową, wszedł na sanie i ruszyli dalej.

Przelecieli nad dwoma budynkami w kształcie ogromnych liter U i osiedli na wielkim tarasie najwyższego budynku w podwodnym mieście. Bartek zsiadł z sani i sięgnął do tyłu. W jego dłoni pojawiła się tylko jedna, mała paczka przewiązana złotą wstążką. Spojrzał na nią zdumiony.

– Tylko jedna na tak wielki budynek? – spytał.

– Tutaj wszystko jest inne, niż w twoim świecie. Dzieci tutejszych ludzi mieszkają razem, za wyjątkiem synów i córek władców miasta – odparł Rudolf.

Mężczyzna omiótł wzrokiem miasto z wielkiego tarasu. Nigdy nie widział niczego równie fantastycznego i surrealistycznego zarazem. Poskręcane i powyginane budynki wyrastały z zielonobrazowego gruntu. Widział szerokie alejki i ulice, przy których stały wielkie pomniki i płaskie powierzchnie, na których wyświetlane były napisy w nieznanym mu języku. Nie rozpoznawał nawet pojedynczych liter, które przypominały małe figury geometryczne.

Odwrócił się i ruszył tarasem w głąb budynku. Przeszedł szerokim, bogato zdobionym holem, gdy nagle zobaczył biegnących w jego kierunku dwóch mężczyzn. Byli ubrani w złociste ubrania, które przypominały mu stroje starożytnych cywilizacji, o których uczył się dawno temu w szkole. W rękach trzymali podłużne, krótkie przedmioty, które skierowali w jego stronę.

Bartek wyciągnął przed siebie dłoń i powiedział głośno:

– Śpijcie!

Mężczyźni zatrzymali się w miejscu i ze zdumieniem na twarzach powoli opadli na ziemię.

Minął ich i dotarł do szerokich schodów obłożonych przepięknym, bogato wyszywanym dywanem. Zszedł na dół mijając płaskorzeźby i obrazy wiszące na ścianach. Niektóre przedstawiały sceny bitewne rozgrywające się na ziemi, inne w powietrzu. Jeden obraz szczególnie go zafascynował. Zobaczył na nim planetę ziemię wraz z księżycem widziane z dużej odległości. W centrum obrazu znajdowała się duża, biała gwiazda.

Zszedł na sam dół i skręcił w prawo. Przeszedł szerokim korytarzem i wszedł do pomieszczenia po prawej, przenikając przez duże, kamienne drzwi. Znalazł się w przestronnym pokoju, na którego końcu stało wielki łożo ze śpiącym dzieckiem. Podszedł do niego i ujrzał małego chłopca ubranego w złocistą szatę. Gdy tylko skupił na nim swoją uwagę, nad jego głową

pojawił się obraz tegoż chłopca bawiącego się ze swoimi rówieśnikami. Spojrzał na małą paczkę w swej dłoni i zdał sobie sprawę, że znajdowała się w niej cienka, kremowa tkanina. Kładąc prezent obok jego łóżka nie rozumiał, jak może pomóc dziecku spełnić jego marzenie.

Wrócił przez szeroki korytarz i schodami na górę. Znalazł się na tarasie z czekającymi na niego saniami. Spojrzał na Rudolfa i nim zdążył zadać pytanie, otrzymał od niego odpowiedź.

– Ten materiał pozwoli mu na wykradanie się z pałacu, czyniąc go niewidzialnym dla oczu cesarskiej straży.

Bartek zaśmiał się kręcąc głową. Wsiadł na sanie i odlecieli dalej, w głąb miasta. Wręczył jeszcze ponad dwieście prezentów w dwóch, owalnych strukturach. Gdy wystartowali z ostatniej i skierowali się ku sklepieniu kopuły, wszystkie jego obrazy dołączyły do niego, scalając się z nim. Przelatując przez grubą, szklaną ścianę posiadał wspomnienia wręczenia prezentu każdemu, z ponad stu tysięcy dzieci w podwodnym mieście. Przemierzając mrok oceanu uświadomił sobie, że jego obrazy odwiedziły jeszcze kilkanaście podobnych miast, w których łącznie mieszkało blisko trzy miliony dzieci.

Wylecieli z oceanu i wyrównali lot kilkaset metrów nad jego powierzchnią. Zatrzymywali się na mniejszych i większych wyspach, gdzie czekały na niego śpiące dzieci z głowami pełnymi marzeń. Wiedział, że jego obrazy dotarły na daleką północ, na Alaskę i Grenlandię, jak również do południowego koła podbiegunowego. Posiadał wspomnienia wszystkich odwiedzonych przez nich miejsc i dzieci, żyjących w często skrajnie różnych warunkach. Różnice te pogłębiały się wraz z ich podróżą na zachód.

Od bogatej Nowej Zelandii, Australii i Japonii, poprzez ogromne zróżnicowanie warunków bytowych w Indonezji, na Filipinach i biedoty rosyjskich kresów wschodnich. Wręczał prezenty dzieciom śpiącym w luksusowych willach, eleganckich i

zadbanych domach, przestronnych mieszkaniach, małych pokoikach, przyczepach kempingowych, drewnianych chatach, szałasach, śpiących pod gołym niebem na ulicach, polach i w lasach. Dla wielu z nich oprócz drobnego prezentu miał coś jeszcze. Tym w najtrudniejszej sytuacji kładł dłoń na głowach i przekazywał myśli, obrazy i uczucia dające im nadzieję na lepsze jutro. Był świadkiem ich cierpień i ogromnych rozterek, których sam nigdy nie doświadczył. Poczuł gniew na niesprawiedliwość tego świata. Nie wiedział, czy to co przekazuje dzieciom zmieni choć trochę ich życie na lepsze. Nie potrafił sobie wyobrazić, co mogłoby wywołać taki efekt. Ogarniało go poczucie bezsilności i beznadziei.

– Nie zmienisz świata w jedną noc – doszły go słowa Rudolfa, gdy stał nad rodzeństwem wynajmowanym przez ich matkę do niewolniczej pracy niemal każdego dnia. – Wszystko co możesz, to stać się chociaż małym światełkiem w ich życiach. Twoja obecność tam i teraz znaczy dla tych dzieci więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Bartek nie odpowiedział. Miał nadzieję, że renifer ma rację, że rzeczywiście obdarza te dzieci czymś, co pozwoli im żyć dalej z poczuciem, że świat ma im do zaoferowania coś więcej.

Gdy wlecieli w głąb kontynentu Azjatyckiego, powróciło rozrywające uczucie rozciągania. Ilość wyłaniających się obrazów Bartka z saniami i reniferami wzrosła milionkrotnie. Dopiero po dłuższej chwili przywykł do ogromu przepływających przez jego umysł myśli i na powrót zakotwiczył się w jednym z nich.

Nagle wszystko dookoła zatrzęsło się na moment. Po chwili spokoju znów wszystko zadrżało.

– Co się dzieje? – spytał rozglądając się.

– Jeden z naszych obrazów jest ostrzeliwany przez chińską artylerię przeciwlotniczą.

– Co takiego?!? – wykrzyczał i jego świadomość momentalnie przeniosła się do atakowanego obrazu. Sekundy później jeden z pocisków uderzył w sanie eksplodując.

– Aa!!! – krzyknęło jednocześnie ponad pięćset milionów Bartków.

W jednej chwili jego świadomość była rozciągnięta na wszystkie istniejące obrazy i nie potrafił skupić swojej uwagi na żadnym z nich.

– Spokojnie, nic się nie stało – powiedział Rudolf, który myślami ściągnął go do obrazu, w którym wcześniej zakotwiczona była jego świadomość.

Mężczyźnie zajęło trochę czasu, nim znów widział świat tylko jedną parą oczu.

– Dlaczego nas atakują? – spytał.

– Jak to dlaczego? – odparł Pyszałek. – Jesteśmy nieznanymi obiektami w ich przestrzeni powietrznej. Nie odpowiadamy na wezwania do identyfikacji i nakazy do wylądowania we wskazanych miejscach. W końcu otwierają do nas ogień.

– Jakich wezwań?! – dopytywał.

– Musiałbyś mieć radio, by je usłyszeć – odparł Pyszałek.

– No właśnie, dlaczego nie mam radia?

– Ponieważ nie przyleciałeś tutaj, żeby sobie pogawędki z chińskim wojskiem urządzać – rzucił Pyszałek. – Poza tym, co byś im powiedział? To ja, święty Mikołaj, nie strzelajcie?

Nie wiedział, co odpowiedzieć reniferowi. Po chwili poczuł serię kolejnych wstrząsów i wiedział, że następne pięć obrazów zostało zestrzelonych z nocnego nieba.

– Nikt mi nie powiedział, że bycie świętym Mikołajem jest niebezpieczne.

– Bartek, tej nocy nie możesz tak naprawdę umrzeć – odpowiedział Rudolf. – Choćby zestrzelili wszystkie nasze obrazy.

Te zapewnienia trochę go uspokoiły. Zdał sobie również sprawę, że nie poczuł żadnego bólu, gdy chińska artyleria unicestwiała jego obrazy. Liczba tych ostatnich cały czas rosła. Teraz zestrzelono ich już ponad trzydzieści.

– „Tylko żebym nie rozpętał żadnej wojny” – pomyślał.

– Nie rozpętasz – rozwiął jego wątpliwości Profesorek. – Każdy z pocisków posiada wbudowaną kamerę i na ułamek sekundy przed trafieniem w cel, wojsko widzi go na swoich monitorach.

– To znaczy ... – zawahał się przez moment – ...widzą dziesiątki sań z reniferami i świętymi Mikołajami, które zestrzeliwują?

– Dokładnie – potwierdził Rudolf.

– Heh, to co oni muszą sobie myśleć? – zaśmiał się mężczyzna.

– To jest ich problem – rzucił Pyszałek. – My mamy rzeczy do zrobienia.

Zniżyli lot i osiedli obok małej wioski rolniczej. Bartek wysiadł z sań i ruszył w jej kierunku z workiem prezentów. Większości dzieci zostawił obok łóżek nowe ubrania i buty. Jeden chłopczyk na skraju wioski śnił o książkach, na które nie było stać jego rodziców, a których potrzebował do szkoły. Dojeżdżał do niej kilkadziesiąt kilometrów każdego tygodnia. Była to jedyna szansa dla niego, by pewnego dnia móc opuścić tę wioskę i znaleźć lepsze życie w dużym mieście. Dla tego chłopca Bartek miał największą paczkę, w której znajdowało się czternaście książek. Uświadomił to sobie, gdy tylko znalazła się w jego dłoni.

Lecieli dalej na zachód, zatrzymując się w wioskach, miasteczkach i wielkich miastach. Był również świadomy odwiedzanych dzieci przez swoje obrazy w Malezji, Wietnamie,

Kambodży, Laosie, Birmie, Mongolii i Rosji. Ich liczba przekroczyła miliard. Zaglądały do każdego domu i chaty ze śpiącymi dziećmi. Jego świadomość była zakotwiczona w obrazie, który właśnie wleciał nad chińską prowincję Syczuan, w środkowo zachodniej części tego wielkiego kraju. Rozglądał się za kolejnym miejsce postoj, gdy nagle usłyszał za sobą huk. Odwrócił się i zobaczył dwa myśliwce. Na bokach miały czerwone flagi ze złotymi gwiazdami. Pomachał im. Miał nadzieję, że teraz gdy widzą z kim mają do czynienia, nie zaatakują go.

Dwie i pół sekundy później został zestrzelony jedną z rakiet odpalonych przez myśliwce. Sanie z reniferami i Bartkiem rozplynęły się w powietrzu spowite blaskiem eksplozji.

Wyłonił się ze swojego obrazu kilkanaście kilometrów od miejsca ataku i ruszył dalej na zachód. Zatrzymywał się w małych wioskach, gdzie wręczał dzieciom głównie buty, czapki, szaliki i rękawiczki. Znacznie cieplejsze od tych, które ich rodzice byli w stanie zrobić własnoręcznie. Ich rodziny nie mogły pozwolić sobie na kupno takich rzeczy. Wszelkie fundusze przeznaczali na jedzenie i podatki należne władzy. Niektórym, najmniejszym dzieciom wręczał pluszaki, które tuliły w obrazach nad swoimi głowami. Ujęła go szczególnie jedna, mała dziewczynka, która miała istną obsesję związaną z misiami. Przy jej łóżku zostawił pluszaka większego od niej. Wiedział, że tegoroczny szósty grudnia będzie najszczęśliwszym dniem w jej życiu.

Kilkaset pozostawionych prezentów później wlecieli nad terytorium Tybetu, w którym wręczył ogromną ilość figurek, statuetek i innych wyrobów z drewna oraz kamienia. Nie rozumiał do końca dlaczego wiele dzieci marzyło akurat o takich prezentach. Docierał również do takich, które pragnęły gadżetów symbolizujących lepsze życie w państwach zachodu. Większość marzeń była jednak nierozzerwalnie związana z kulturą i tradycją tego regionu.

Doleciał do kolejnej, małej wioski w górach. Sanie osiadły

schowane za kamienistym zboczem. Bartek sięgnął po prezenty i w jego rękę pojawił się niemal pusty worek. Zarzucił go na plecy i obszedł zbocze ostrożnie stawiając kroki. Ujrzał przed sobą cztery chaty tworzące mały kwadrat, ustawione wejściami skierowanymi do siebie. Gdy zbliżył się do nich na odległość kilku metrów, z jednej z chat wyszedł niewysoki mężczyzna ubrany w gruby kożuch i czapkę zakrywającą połowę jego twarzy. Uśpił go gestem ręki i słowem. Wręczył trójce śpiących dzieci prezenty, głównie ubrania oraz jedną piłkę do footballu.

Gdy wyszedł z ostatniej chaty spojrzał na śpiącego mężczyznę na ziemi. Sam nie czuł chłodu lecz wiedział, że jest bardzo mroźna noc. Chwycił go za ręce i zaciągnął do wnętrza chaty otwierając jej drzwi. Zamknął jej i dopiero wtedy ruszył z powrotem w kierunku sań.

Lecąc dalej na zachód, do jego umysłu napływały wspomnienia obdarowanych dzieci w Indiach, Nepalu, Mongolii i Rosji. Czuł również każdy zestrzelony obraz. W samej Rosji ich liczba przekroczyła dwa tysiące i cały czas rosła.

– I tak jest co roku? – spytał w pewnym momencie renifery.

– Od kilku dekad, tak – odparł mu Rudolf.

– Zawsze szóstego grudnia?

– Zgadza się – potwierdził Profesorek.

– Nie rozumiem. Jeżeli rok w rok widzą, że zestrzeliwują setki sań świętego Mikołaja, to dlaczego wciąż to robią?

– Zastanów się – włączył się do dyskusji Fircyk. – Nawet jeżeli ludzie byliby skłonni przyjąć, że rzeczywiście istnieje święty Mikołaj, to na pewno nie zrozumieliby jak mogą istnieć ich setki albo i tysiące.

– No tak, ale... – przerwał mu mężczyzna, lecz nie potrafił ubrać w słowa swych wątpliwości.

– Ty teraz wiesz, co, jak i dlaczego. Gdyby ktoś ci to wszystko opowiedział dwa dni temu, jakbyś zareagował?

– Wyśmiałbym go i uznał za błazna – odparł po chwili namysłu.

– Dokładnie. Wojsko, z braku lepszego wytłumaczenia zakłada, że jesteśmy obcymi formami życia. Nie potrafią przyjąć, że rzeczywiście mogą mieć do czynienia ze świętymi Mikołajami.

– A zatem możemy rozpętać wojnę ... zatroskał się Bartek.

– Raczej nie. Wszystkie państwa doświadczają tego samego problemu każdego roku i od wielu lat prowadzone są rozmowy na ten temat w kręgach wojskowych. Sojusznicy dzielą się swoimi doświadczeniami, a wywiady nie zaprzyjaźnionych państw wykradają sobie te informacje, potwierdzając tym samym, że nie tylko one mają tak absurdalne i niewytłumaczalne doświadczenia – tłumaczył Rudolf. – I zawsze w tą, jedyną noc z piątego na szóstego grudnia. W żadną inną w całym roku.

– To znaczy ... – zawahał się – ... że w tym roku spodziewali się nas i są przygotowani do zestrzelenia jak największej ilości naszych obrazów...?

– Tak – odparł krótko Profesorek.

– I nikt mi nic nie powiedział?! – uniósł się mężczyzna.

– Miałeś wystarczająco dużo rzeczy do poznania i zrozumienia – odparł Rudolf. – Nie chcieliśmy cię tym dodatkowo straszyć.

Lecieli długo bez lądowania. W umyśle mężczyzny pojawiały się wspomnienia dzieci z różnych zakątków świata, które bytowały w niekiedy strasznych warunkach. Widział ich marzenia, troski i obawy, gdy jego obrazy kładły dłonie na ich głowach, wspierając ich przekazywanymi myślami. W pewnym momencie rozpłakał się głęboko poruszony strasznym losem tak wielu dzieci. Nie potrafił wyrazić słowami jak ogromnie im współczuł i jak bardzo chciał, by ich życia były lepsze, lżejsze, wypełnione miłością oraz troską rodziców i opiekunów, którym

tak wielu z nich brakowało. Sieroty, dzieci porzucone i odrzucone, zaniedbane i niekochane. Nie śniły o rzeczach wielkich nie wierząc, że mogą się ziścić. Wszystkie one pragnęły drobiazgów, które wniosłyby do ich życia promyk radości. Ocierając łzy obiecał sobie, że każde dziecko na ziemi otrzyma coś od niego tej nocy. Gdy tylko złożył sobie tę obietnicę, został zestrzelony przez artylerię przeciwlotniczą Pakistanu.

Wyłonił się z obrazu znajdującego się tuż za granicą Kazachstanu. Zupełnie niewzruszony kolejnym atakiem leciał dalej, aż wylądowali obok małej osady złożonej z kilku budynków ceglanych. Obok każdego z nich znajdowała się zagroda ze zwierzętami: owcami i końmi. Wyciągnął z sań worek z prezentami. Gdy tylko znalazł się w jego dłoni wiedział, że było ich dwadzieścia cztery. Przy łóżkach dzieci zostawiał prezenty z tak różną zawartością, jak wyszywane swetry, książki, małe kije golfowe, piłki do footballu, czy zestawy kredek i ołówków. Dwójce rodzeństwa w ostatnim z domów wręczył figurki z bajek, które widziały tylko raz podczas jedynej w swoim życiu podróży do dużego miasta, oddalonego blisko pięćset kilometrów od ich osady.

Gdy dotarli do kontynentu europejskiego, Bartek poczuł lekką ekscytację. Pomyślał o swojej córce czekającej na prezent. Ta myśl całkowicie nim zawładnęła i skupił swoją uwagę wyłącznie na obrazie, który zatrzymał się przed domem jego byłej żony. Mieszkała teraz ze swoim nowym partnerem.

Przeszedł przez drzwi wejściowe, długi przedpokój i wszedł na piętro. Minął sypialnię dwojga dorosłych i udał się wprost do pokoju swojej córki. Serce dudniło w jego klatce jakby chciało z niej wyskoczyć. Musiał zatrzymać się na moment i uspokoić. Przeniknął przez drzwi pokoju dziewczynki i stanął obok jej łóżka.

Uśmiechnął się szeroko, gdy zobaczył śpiącą pięciolatkę. Łzy napłynęły mu do oczu. Tak dawno jej nie widział. Ależ urosła,

pomyślał. Spojrzał na swoje ręce i uświadomił sobie, że zapomniał wziąć dla niej prezent z sań. W chwili gdy to zauważył, przez ścianę pokoju przeniknął Rudolf trzymając w pysku małe zawiniątko. Mężczyzna wziął je do ręki i podziękował reniferowi skinieniem głowy. Ten puścił do niego oko i zniknął za ścianą.

Bartek spojrzał na zawiniątko i momentalnie zdał sobie sprawę, co było w środku. Mały kotek, o którego Karolinka prosiła odkąd skończyła trzy lata.

Położył zawiniątko ostrożnie obok łóżka i rozplątał wiążący je supeł. W środku spał w najlepsze mały, szary kotek. Dokładnie taki, jakiego zawsze chciała dostać.

Podszedł do łóżka córki i położył rękę na jej głowie. Poczuł wszystko, czego doświadczała. W tym tęsknotę za nim, jej tatą, którego nie widziała od ponad pół roku. Rozpląkał się chowając twarz w dłonie.

Dopiero po kilku minutach uspokoił się, ucałował czoło swojej córki i wyszedł z jej pokoju przenikając przez drzwi. Zanim zszedł na dół udał się jeszcze do sypialni swojej byłej żony. Zobaczył ją śpiącą na szerokim łóżku razem z jej obecnym partnerem, Robertem.

Podszedł i położył rękę na jej głowie. Zobaczył jej lęki i obawy, pragnienia i marzenia. Ujrzał jak bardzo zależało jej, by w życiu Karoliny był obecny jej ojciec, którego Robert nigdy nie mógł tak naprawdę zastąpić. Zobaczył również samego siebie jej oczami. Poczuł rozczarowanie sobą i smutek. Również wstyd i zażenowanie. Cofnął rękę i stał jeszcze przez chwilę przyglądając się śpiącej kobiecie.

Wyszedł z domu i wsiadł na sanie odlatując dalej. Dopiero po jakimś czasie powróciła w jego umyśle świadomość pozostałych obrazów, które docierały również do dzieci na kontynencie afrykańskim. Wiele z nich bytowało w strasznych warunkach. Ku jego zaskoczeniu większość z nich potrafiła pomimo tego

odnaleźć radość w swoich życiach. Niezależnie od sytuacji, dobro każdego dziecka było tej nocy jego odpowiedzialnością. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wytrwale i z dużym zapałem kontynuował swoją misję podążając wgłąb kontynentów, aż dotarł do oceanu atlantyckiego.

Tutaj ponownie część z jego obrazów udała się głęboko pod powierzchnię wody, odwiedzając dziesiątki różnych miast. Niektóre były osadzone na samym dnie, inne trwały nieruchomo na mniejszych głębokościach zamknięte w wielkich, szklanych kulach. Każde z nich zamieszkiwali ludzie i w każdym czekały na niego dzieci z głowami pełnymi marzeń. Konsekwentnie, krok po kroku docierał do wszystkich, dla każdego mając jakiś upominek lub wsparcie, którego potrzebowały.

Nad kontynentami amerykańskimi doszło do większej liczby incydentów, niż nad Azją. Nim dotarł do wszystkich dzieci obu Ameryk, unicestwiono ponad trzysta tysięcy jego obrazów. W samych Stanach Zjednoczonych blisko dwieście pięćdziesiąt tysięcy z nich zostało zestrzelonych z nocnego nieba.

Po dwunastu godzinach pracy dotarł na Hawaje, gdzie kończyła się jego misja. Wszystkie obrazy połączyły się ze sobą, aż znów były tylko jedno sanie z dziewięcioma reniferami i kierującym nimi Bartkiem.

– Wracamy! – krzyknął mężczyzna.

Renifery posłusznie wzbiły się pionowo w górę i opuścili atmosferę ziemską.

Sanie osiadły na powierzchni księżyca. Poczuł falę szczęścia i radość dzieci na ziemi, odkrywających pozostawione przez niego prezenty.

– Gratuluję – usłyszał za sobą.

Obrócił się i zobaczył ogromnego świętego Mikołaja stojącego

obok niego. Pomimo długiej i gęstej brody dostrzegł uśmiech na jego twarzy.

Wysiadł z sani i pokiwał głową uśmiechając się do olbrzyma. W głowie przelatywały mu wszystkie wydarzenia minionej nocy. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Dobrze się spisałeś – dodał Mikołaj. – Sam bym lepiej tego nie zrobił.

Mężczyzna spojrzał na niego zdumiony. Przypomniawszy sobie ich pierwszą rozmowę i wszystko, co usłyszał od niego na swój temat. W pewnym momencie uśmiechnął się zdając sobie sprawę, że to wszystko dzięki mocy, którą otrzymał od świętego Mikołaja.

– Nie do końca – poprawił go olbrzym – Teraz jesteś innym człowiekiem niż ten, którego sprowadziłem tutaj wczorajszego wieczoru. Moc, którą ci przekazałem nie miała nic wspólnego z uczuciami, które wzbudziły w tobie odwiedzone dzieci.

Bartek milczał przez dłuższą chwilę. W końcu odezwał się cicho:

– Nie rozumiem...

– Oprócz tego, co oczywiste i na zewnątrz, dostrzegłem w tobie coś jeszcze. Światło głęboko w twojej duszy, które potrzebowało pretekstu, odpowiednich okoliczności, by wydostać się na powierzchnię.

Do oczu mężczyzny napłynęły łzy. Olbrzym kontynuował:

– Bycie świętym Mikołajem to nie tylko wręczanie prezentów innym. To również nauka zdolności dostrzeżenia i docenienia dobra w sobie samym. Wyciągnięcie tego światła ponad ciemną otchłań swych obaw, wątpliwości, urazów i nienawiści i pozwolenie, by oświeślało nam drogę przez życie. By stało się naszym przewodnikiem i punktem odniesienia dla wszystkiego, co robimy.

Bartek otarł twarz wilgotną od łez.

– Dziękuję – odparł cicho.

Mikołaj pokiwał wielką głową wciąż się uśmiechając.

– Ale... – Mężczyznę naszła nagle myśl. – To nie miałem być ja...
– zawiesił głos. – To nie ja miałem otrzymać ten dar od ciebie, święty Mikołaju....

– To miałeś być właśnie ty – odparł olbrzym. – Wybrałem ciebie ze względu na to, jak wyglądało twoje życie. A wcześniej powiedziałem ci to, co musiałeś usłyszeć.

Bartek patrzył na ogromnego Mikołaja z wdzięcznością, której nie potrafił ubrać w słowa.

– Teraz pora odstawić cię z powrotem na ziemię. – Po tych słowach święty Mikołaj uniósł olbrzymią dłoń ku górze. Mężczyznę otoczyło oślepiające światło.

Kilka sekund później stał na ulicy w połowie drogi pomiędzy swoim budynkiem mieszkalnym i sklepem monopolowym. Rozglądnął się dookoła. Było tuż po dziesiątej rano szóstego grudnia. Chodnikami przechodziły małe grupy roześmianych osób i rodzin z dziećmi. Na większości budynków wisiały świąteczne ozdoby. Zaskoczyło go, że wcześniej ich nie zauważył.

Spojrzał na siebie i zobaczył swój stary, brudny strój świętego Mikołaja. W dłoni trzymał zerwaną z twarzy brodę, a na jego twarzy znajdowała się zaschnięta krew. Dopiero po chwili dotarł do niego ból złamanego nosa.

Ruszył wolnym krokiem w stronę swojego budynku mieszkalnego. Myślami wracał do wydarzeń ostatnich dwunastu godzin. Przez moment miał wrażenie, że to był tylko sen. Posiadał jednak wszystkie wspomnienia, włącznie z wizytą w domu swojej byłej żony i pokoju Karolinki. Odetchnął głębiej i wszedł do klatki schodowej.

Gdy znalazł się w swoim mieszkaniu omiótł go wzrokiem i pokręcił głową. Wyglądało strasznie. Było brudne, z ubraniami i flaszками walającymi się po podłodze. Postanowił doprowadzić je do porządku. Później znajdzie sobie dobrą pracę i będzie lepiej się prowadził. Tak, by był godzien przyjąć na powrót do swego życia swoją córkę. To było teraz dla niego najważniejsze.

Koniec

Autorstwo: Szymon Dąbrowski

Zdjęcie: [Free-Photos](#) (CC0)

Źródło: WolneMedia.net